Kulturalny człowiek orkiestra - rozmowa z Leszkiem Ołdakiem

Miasto
Kultura

19.01.2024 g. 09:40



Plakacista, grafik, ilustrator książek, ale także filmowiec, człowiek teatru, animacji oraz dziennikarz. Kulturalny człowiek orkiestra, który mógł zamieszkać na warszawskim Ursynowie, ale wybrał opolskie AK. Leszek Ołdak szczerze i o wszystkim.



– Niedawno dostał pan nagrodę od prezydenta Opola „za całokształt dokonań twórczych i artystycznych”. Wróćmy jednak do Leszka Ołdaka, gdy był dzieckiem.

– I pyta pan, czy lubił rysować? Jak wszystkie dzieciaki, oczywiście, że tak. Może było tego trochę więcej od przeciętnej. Pamiętam, że w liceum uwielbiałem robić okładki pism, które były w naszym domu. ,,Ty i ja”, ,,ITD.”, ,,Radar”. Bardzo kibicował mi 12 lat starszy brat, który namówił mnie, abym komuś to pokazał. No to pojechałem do redakcji „Ty i ja”. A tam Waldemar Świerzy, Henryk Tomaszewski i Roman Cieślewicz popatrzyli na moje prace i jeden z nich powiedział: „Te kupuję, proszę pracować dalej”.

– Musiał być pan szczęśliwy.

– Oczywiście. Bodziec od takich mistrzów musiał zrobić swoje.

– Na studia wybrał pan architekturę we Wrocławiu.

– I trafiłem na świetny rocznik. Wtedy poznałem plakacistę, rzeźbiarza i grafika w jednym, Geta Stankiewicza. Zaprzyjaźniłem się z Jankiem Sawką, wspaniałym, zabawnym i nietuzinkowym facetem, który zawsze namawiał mnie, abyśmy wyjechali do Stanów, bo tam będzie nam lepiej. Nigdy mu się to nie udało.

– Może dlatego „wylądował” pan w Opolu.

– Jeszcze chwila minęła zanim się tutaj znalazłem. Najpierw była Łódź.

– I przygoda z filmem, bo nie wszyscy o tym wiedzą.

– To był kompletny przypadek. Spotkałem na ulicy kolegę Adama Kopczyńskiego. Był wtedy drugim scenografem w branży filmowej. W swoim CV ma choćby „Janosika”, „Lalkę”, „Ziemię Obiecaną”, czy „Niespotykanie spokojnego człowieka”. Znając moje upodobania plastyczne powiedział, że potrzebuje do filmu utrzymany w starym stylu plakat jako rekwizyt. Zrobiłem na papierze pakunkowym, to był jakiś film retro, więc pasowało. W Łódzkiej Wytwórni Filmowej kierownik plakat pochwalił i zapytał, czy interesuje mnie praca w filmie. A ja głupi się zgodziłem.

– Dlaczego głupi?

– Nie przypuszczałem, czym to wszystko pachnie. Musiałem użerać się z wieloma ludźmi, a samej pracy scenograficznej było niewiele. Pierwszy film jaki robiłem to „Zawiłości uczuć”. Według mnie słaby. Reżyserem był Leon Jeannot. Pamiętam, że grał tam ojciec Marka Konrada – Tadeusz oraz Marian Łącz. Akcja w Przemyślu, daleko. Pojechałem na dokumentację, ale tak naprawdę jedynym pożytkiem z tej przygody był fakt, że poznałem Ryszarda Potockiego, ojca znanej później córki-aktorki Małgorzaty. Był prawdziwym nestorem polskiej scenografii filmowej. Wtajemniczył mnie w te klimaty i uświadomił, co może czekać. Nieszczęście polegało na tym, że w czasie realizacji tego filmu zmarł. To było 28 września 1975 roku. I na dzień dobry zostałem sam z realizacją tego filmu w warstwie scenograficznej, ale dzięki temu szybko bardzo dużo się nauczyłem. Jak malować, co widzi kamera, jaki jest kadr. Na czym się skupić, a co nie jest widoczne.

– Spodobało się panu?

– Myślę, że dawałem radę, ale trochę jednak mnie to nudziło. Bardziej ciągnął mnie film animowany. I cały czas marzyłem przede wszystkim o robieniu plakatów i ilustracji do wydawnictw książkowych.

– Pan żartuje?! Jest pan na „liście płac” do kultowego „Kochaj albo rzuć” z Pawlakiem i Kargulem.

– Robiłem go już trochę z rozpędu. Trafiłem wtedy na świetnego scenografa z Zakopanego Jana Grandysa. Bardzo mnie polubił, byłem jego prawą ręką. Śmialiśmy się, że twórcy zrobili tę trzecią część, żeby sobie pojechać do Ameryki.

– Ale pana nie zabrali?

– Janka Grandysa też nie. „Po cholerę mam się tam pchać? Mam tam brata, więc kilka razy już go odwiedziłem” – mówił.

– To zanim przyjedziemy już do Opola, poproszę o ostatnie filmowe wspomnienie?

– Pracowałem też przy „Do krwi ostatniej” w reżyserii Jerzego Hoffmana. Straszyli mnie, że rączki i nóżki mi połamie – taki raptus. Tymczasem świetnie nam się pracowało.

– Ale żonę też pan poznał w… filmowym klimacie.

– Poznaliśmy się, gdy żona robiła we Wrocławiu „Na srebrnym globie” Andrzeja Żuławskiego z 1987 roku. Ja byłem w pracowni scenograficznej u pana Tadeusza Kosarewicza, a ona z zespołem współprodukcji miała spotkanie przedprodukcyjne. I wtedy zwróciłem na nią uwagę.

– No to powoli dobijamy do brzegu z napisem „Opole”.

– Po ślubie mieszkaliśmy w Łodzi. Nie planowaliśmy Opola, ale akurat Basia była zapisana w spółdzielni i tutaj dostaliśmy mieszkanie. Chcieliśmy zamienić je na Warszawę, ale jego właściciel się wycofał.

– Czyli jak wtedy z tym filmem w Łodzi, znowu przypadek.

– Takie jest życie. Mogliśmy wyjechać na Ursynów, bo tam miał mieszkanie, a zostaliśmy na całe dziesięciolecia na opolskim ZWM-ie, teraz Armii Krajowej. Żona była wtedy na urlopie macierzyńskim i uznaliśmy, że „tutaj też da się żyć”. Basia była stąd, ale ja też miałem już wspomnienia z Opola. Zanim poznałem Basię miałem stąd sympatię. Przy ulicy Grunwaldzkiej mieszkała. Świat jest mały, bo potem się dowiedziałem, że była młodszą siostrą koleżanki żony z podstawówki. Wszystko świetnie się składało. Urodził się syn, a ja dosyć już miałem filmowej tułaczki z miasta do miasta i bycia ciągle na walizkach.

– Ołdak filmowiec nie miał chyba problemu z pracą w Opolu?

– Zamieniłem film na teatr. Złożyłem ofertę w Teatrze Kochanowskiego. Wtedy bardzo topowym, który robił świetne wydawnictwa, głównie dzięki Bogdanowi Hussakowskiemu, który do 1979 roku był dyrektorem. Przekształcił dotychczas prowincjonalny teatr w scenę znaną w całym kraju. Był też jednym z inicjatorów i organizatorów festiwalu Opolskie Konfrontacje Teatralne „Klasyka Polska”. Plakaty i programy teatralne robili na bardzo wysokim poziomie.

– Jako kto dołączył pan do zespołu?

– Specjalista do spraw prasy i reklamy. Odpowiadałem za afisze, plakaty, programy teatralne, ale także za wystawy. Wtedy każdej premierze Kochanowskiego towarzyszyła w holu wystawa, zwykle plakatów. Trzeba było wystarać się o materiał

na wystawę, nawiązywałem więc kontakty z kolekcjonerami np. plakatów. Druga strona medalu to nieustanna udręka z drukarniami, żeby ze wszystkim zdążyć na czas. No i miałem na głowie wszystkie miejskie gabloty reklamowe. Były wszędzie. Zamykane na klucz, często rdzewiały tam zamki, które musieliśmy nieustannie czyścić. Mnóstwo fizycznej pracy, wcale nie takiej, z jaką kojarzeni są artyści. Z Kajtkiem Nowakowskim, fotografikiem, wypełnialiśmy treścią wszystkie gabloty. Mimo wszystko lubiłem tę robotę.

– Ale długo w niej Pan nie został?

– Kiedyś na urodzinach Ani Panas poznałem Mariana Buchowskiego. Mówili mi, że to ostry wojujący dziennikarz i na pewno się dogadamy. „Rysujesz w Szpilkach. Przyjdź do nas" – zagadnął do mnie wtedy. Był sekretarzem redakcji w Trybunie Opolskiej z Andrzejem Machem. Przyszedłem do nich, przedstawili mi jeszcze „magazyniera" Henia Kubickiego. Myślałem, że to magazynier naprawdę, ale chodziło o to, że „on nic nie wyrzucał, bo wszystko się przyda". Poprosiłem tylko, żeby załatwili to między sobą z „Kochanowskim". Ostrzegłem też, że nie zapiszę się do PZPR. Po latach Buchowski w swojej książce napisał o mnie: „mocno bezpartyjny".

– Pod nobliwą, budzącą zaufanie powłoką zewnętrzną drzemie diabełek ciągnący z nas, pełnych próżności i buty, niezgorszego łacha – tak scharakteryzował kiedyś pana Zdzisław Smektała.

– Rysunek mówi za mnie. Zgadzam się z oceną Zdzisława. Nigdy nie lubiłem żołnierskiego dowcipu. Wolałem z podtekstem i aluzją. Robiąc plakat, potrzebna jest gimnastyka umysłu. Rutyna przydaje się w tym sensie, że wiem czym dysponuję. Co moja ręka potrafi zrobić.

– Więc tak już definitywnie, z perspektywy czasu i doświadczenia, proszę powiedzieć, co głowa podawała ręce najchętniej?

– Kochałem plakat, w tamtych czasach miał wielką siłę w Polsce. Zawsze pociągała mnie ilustracja książkowa. Jak już wspomniałem, w filmie się nie zakochałem. Uwielbiałem rysunek satyryczny. Kiedyś w jednym konkursie zdobyłem nawet dwa pierwsze miejsca w różnych kategoriach: „Fryderyk Chopin" i „Człowiek roku". Było nawet tak, że w Trybunie Opolskiej pisałem felietony. Pod rubryką Wicewersal się ukazywały. Z założenia miały być złośliwe i satyryczne.

– A skoro Miasto Opole tak ładnie pana uhonorowało i podsumowało długą karierę, to chce się panu jeszcze chcieć?

– Słowo daję, że ta nagroda była dla mnie miłym zaskoczeniem. Dostałem zaproszenie na galę, ale, że będę poproszony na scenę, dowiedziałem się dopiero gdy mnie na nią zaproszono. A czy chce mi się chcieć? Powiem szczerze, już nie bardzo, choć uważam, że wciąż jest o czym rysować. Kiedyś powiedziałem, że „Jeszcze nie było tak głupio, żeby nie mogło być normalnie”. To zdanie wciąż pozostaje aktualne, bo o ile kiedyś wiadomo było gdzie wróg, to teraz kompletnie nie wiadomo, gdzie „strzelać”. Niech to jednak robią już inni, ja będę się temu przyglądał, choć pewnie od czasu do czasu głowa poda coś mądrego ręce.





Rozmawiał Dariusz Król

Wywiad ukazał się w styczniowym wydaniu magazynu "Opole i Kropka":
www.opole.pl/dla-mieszkanca/aktualnosc/zapraszamy-do-lektury-urodzinowego-magazynu-opole-i-kropka

Dane kontaktowe
Wydział Kultury, Promocji i Komunikacji Społecznej

Tagi
Leszek Ołdak
wywiad
Opole i kropka